

O moim Mistrzu – w stulecie Jego urodzin

18 maja 2020 roku mija 100 lat od dnia urodzin Karola Wojtyły – św. Jana Pawła II. Okazja to szczególna, by jego postać i dokonania przywołać – i z pewnością tych przywołań będzie wiele i będą różne, bo żaden krótki tekst nie pomieści całego bogactwa jego życia, osobowości i dzieł, które realizował. Przypomnę tylko, że książka G. Weigla *Świadek nadziei* liczy 1150 stron, monografia Pasterz B. Lecomte'a – 767 stron, a czterotomowe dzieło J. Moskwy *Droga Karola Wojtyły* – łącznie ok. 1600 stron – a to tylko kilka wybranych biografii św. Jana Pawła II. Ponieważ piszę do PAU-zy: pisma wychodzącego w Krakowie i podejmującego problemy związane z nauką, to podzielę się wspomnieniami z seminariów, w jakich miałem szczęście brać udział w domu krakowskiego metropolity, oraz z tej współpracy naukowej, w której dane mi było trochę uczestniczyć.

Jeździłem na te seminaria w latach 1966–1969, Karol Wojtyła był już wówczas kardynałem, miał mnóstwo obowiązków, na naukę „kradł” chwile wolne. Seminaria odbywały się kilka razy do roku, w piątki i soboty. Brał on wtedy tzw. „dniówkę”: jeden dzień w miesiącu wolny od zajęć duszpasterskich i administracyjnych. Jeździliśmy nocnym pociągiem z Lublina do Krakowa (innych połączeń nie było) – i to jeździliśmy na jego koszt, odkąd bowiem został biskupem (1958) nie pobierał pensji na KUL-u, ale dzielił ją na stypendia dla studentów. Pobory za miesiące wakacyjne zostawiał do dyspozycji Katedry Etyki – i stąd właśnie czerpałiśmy środki na wyjazdy do Krakowa. W kontekście mnogości sprawowanych funkcji i zajęć uderzał nade wszystko jego spokój. Kardynał Wojtyła nie umiał się spieszyć i chyba nie nauczył się tego jako papież. To my, studenci byliśmy podekscytowani, kiedy trzeba było jechać na dwudniowe seminarium i prezentować tam swoje rozprawki. Dostojny Gospodarz podpisywał w tym czasie mnóstwo listów i zdawał się duchowo nieobecny, ale to złudzenie szybko mijało, gdy odkładał pióro, zagajał dyskusję sakramentalnym *quid vobis videtur* (co o tym sądzicie?) i sam ją prowadził, po mistrzowsku wydobywając z referatów wątki podstawowe, najbardziej do dalszej refleksji inspirujące. Udzielał się nam jego wewnętrzny spokój, tak potrzebny filozofom. Uczyliśmy się od niego łączyć życzliwość z krytycyzmem, cierpliwą analizę z szukaniem głębokiej, niesynkretycznej syntezy. Wojtyła bowiem lubił wydobywać ze stanowisk sobie przeciwnych te wątki, które – z pozoru nie do pogodzenia – przy bliższym wejrzeniu okazują się komplementarne i wzajem ubogacające. Tak właśnie starał się łączyć filozofię bytu z filozofią świadomości, respekt dla tradycji z uszanowaniem myśli nowożytnej i współczesnej, analizę ściśle filozoficzną z wrażliwością teologiczną. Czas seminaryjnych posiedzeń mijał – i choć mieliśmy za sobą całonocną podróż, a posiedzenia trwały nie 90 minut, lecz po 5–6 godzin, nie odczuwaliśmy zmęczenia.

Obciążony tyłoma obowiązkami, kardynał Wojtyła robił wszystko, co musiał – i tylko to, co musiał. Artykuły i książki pisał często w swojej kaplicy, jeśli tylko wizytacje lub inne powody nie zmuszały go do wyjazdu z Krakowa. Ale z warsztatu naukowego trudno w kaplicy korzystać, toteż na przykład pierwsze wydanie studium *Osoba i czyn* (1969), jednej z najważniejszych książek Wojtyły, nie ma ani jednego przypisu. Teksty swe często dawał Kardynał przed publikacją najbliższemu współpracownikowi, prosząc o uwagi i wiele z nich uwzględniał. Do pomocy zapraszał również studentów. Piśmiennictwa filozoficznego było w owym czasie znacznie mniej niż dziś, ale i tak za dużo, by Kardynał mógł sobie pozwolić na czytanie wszystkiego. Na seminaria przygotowywaliśmy więc – pod kierunkiem ks. doktora Tadeusza Stycznia – etyczną „prasówkę”, by Kardynał mógł się z grubsza zorientować, co się dzieje w świecie filozoficznym, a zwłaszcza etycznym, a także by mógł wybrać te teksty, które uznał za warte osobistej lektury. Na tej współpracy myśmy zresztą więcej korzystali niż nasz Profesor. Uczyliśmy się śledzić

literaturę, zwięźle i jasno referować poszczególne publikacje, charakteryzować sylwetki filozoficzne ich autorów, odróżniać pozycje cenne od mało wartościowych, wnikać w sposób myślenia i oceniania naszego Mistrza. On zaś nie wyręczał się innymi tam, gdzie jego osobista opinia lub decyzja była niezbędna. Zanim odważyłem się otworzyć przewod doktorski, przygotowałem maszynopis (komputerów jeszcze nie było) pierwszej wersji rozprawy i posłałem ją trzem adresatom: ks. Styczniovi jako promotorowi, ks. prof. H. Jurosowi jako przypuszczalnemu recenzentowi oraz kardynałowi Wojtyle jako kierownikowi Katedry Etyki. Pierwszym, który moją pracę przeczytał, i jedynym, który odpisał, był Wojtyła, chociaż o recenzję mojej rozprawy nie był jeszcze poproszony.

Chętnie przystępował do dyskusji, ale nie lubił powierzchownych utarczek słownych. Nigdy nie wykorzystywał niezręczności lub drobnych potknięć oponenta, tym bardziej stronił od wszelkiej złośliwości. Głosy krytyczne skłaniały go raczej do próby pozytywnego i całościowego przedstawienia tego, co – jak sądził – jego adwersarze widzą zbyt jednostronnie. Bywało więc, że – jak w małej wymianie zdań wokół *Miłości i odpowiedzialności* (1974) – odpowiedź kardynała Wojtyły była obszerniejsza niż poprzedzające ją głosy polemistów (K. Meissnera i mój). Kardynał nie tyle ustosunkował się do zawartej w tych głosach krytyki, ile raczej potraktował je jako pretekst do dokładniejszego ukazania specyfiki daru z siebie, właściwego miłości oblubieńczej. Tak też nas uczył bardziej myśleć, niż dyskutować. Wciągał nas w swoje widzenie tajemnicy człowieka, ukazywał ją nieśpiesznie z różnych stron. Mniej cierpliwych nużył i zniechęcał, ale kto w tej intelektualnej wędrówce wytrwał, ten już się z kręgu fascynacji człowiekiem nie dał wyrwać. U Wojtyły łączyła się ona z autentycznym oddaniem się Bogu i ku Niemu prowadziła.

Rozważania filozoficzne Kardynała zawsze znamionował teologiczny, a niekiedy wręcz mistyczny oddech. Potrafił znakomicie łączyć dyscyplinę racjonalnych wywodów ze swoistym pietyzmem, z jakim traktował ludzką osobę i jej tajemnice. Kiedy więc w encyklice *Fides et ratio* Papież przydaje większego znaczenia *myśleniu* filozoficznemu niż filozoficznemu systemowi, kiedy otwiera przed rozumem fascynujące perspektywy rzeczywistości nadprzyrodzonej, to dawny jego student musi przywołać obraz wykładów, seminariów i dyskusji sprzed lat, a także rozmów toczących się w trakcie długich spacerów, bo niekiedy „dniówki” wykorzystywał Kardynał na spacerów filozoficzne, a nie na posiedzenia seminaryjne.

Było nam tych wykładów, seminariów i spacerów ciągle mało. Ale przecież odbywały się, pomimo tylu zajęć, nawet dość regularnie. Stopniowo formowała się szkoła etycznego myślenia, szkoła personalizmu. Kardynał Wojtyła bolał tylko nad tym, że bariera językowa nie pozwala mu upowszechnić poza Polską tego dorobku myślowego, któremu przewodził i w którego krąg wprowadzał swych uczniów. Tak powstała myśl o zebraniu kilku tekstów nawiązujących krytycznie (ale we wspomnianym Wojtyłowym stylu) do marksizmu z jednej, a liberalizmu z drugiej strony oraz o przetłumaczeniu ich na język niemiecki. Znalazły się ostatecznie w tym zestawie trzy teksty: kardynała Karola Wojtyły, ks. T. Stycznia i mój, a wydawca niemiecki może sobie pogratulować szczęścia, bo książka była gotowa do druku w październiku 1978 roku i mogła tuż po wyborze kardynała Wojtyły na Stolicę Piotrową ukazać się pod celnie wybranym tytułem *Der Streit um den Menschen* (Spór o człowieka).

Od śmierci św. Jana Pawła II mija już 15 lat. Dla mnie wciąż pozostaje on człowiekiem Bożym, pobudzającym do świętości. Pozostaje także Mistrzem w wymiarze naukowym. Próbuję kontynuować jego styl filozofowania i uczyć tego stylu studentów, ale proszę mnie nie pytać, czy i jak dalece mi się to udaje.